

Na miesiąc przed wyborami

Prezydent w państwie

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej jest najwyższym przedstawicielem RP i gwarantem ciągłości władzy państwowej – stanowi art. 126 obowiązującej nas Konstytucji z 1997 roku. W stosunku do ustawy konstytucyjnej z 1992 roku, która regulowała wzajemne stosunki między władzą ustawodawczą i wykonawczą, sformułowanie to tworzy wrażenie zbyt dużej ogólności, co potwierdza odpowiedni artykuł poprzedniej konstytucji stawiający sprawę konkretnie, że prezydent jest najwyższym przedstawicielem Państwa Polskiego w stosunkach wewnętrznych i międzynarodowych. Skoro prezydent jest pierwszą osobą w państwie, to rozumiałą rzeczą powinno być jego uprawnienie do kształtowania polityki państwa, zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej. Zadanie to obecna konstytucja nieco rozmyła, co miało swoje negatywne skutki wobec sporej aktywności politycznej jaką prezentował śp. Prezydent Lech Kaczyński.

Jasno i krótko mówiła o prezydencie Konstytucja z 23 kwietnia 1935 roku: „Na czele Państwa stoi Prezydent Rzeczypospolitej”, w punkcie drugim: „Na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy państwa”, a punkcie czwartym: „W jego osobie skupia się jednolita i niepodzielna władza państwowa”. Jak daleko odeszliśmy od tej konstytucji, która oddawała w sposób precyzyjny prezydentowi zwierzchnictwo nad rządem, sejmem, wojskiem, sądami, kontrolą państwową. No ale wtedy nie dominowała w Europie i w Polsce liberalna lewica i nie było Unii Europejskiej, która dąży do likwidacji państw narodowych przy zachowaniu zwierzchnictwa wielkiej dwójki, czyli Niemiec i Francji.

PO wobec Lecha Kaczyńskiego

Donald Tusk w 2005 roku zaciekle walczył z Lechem Kaczyńskim o urząd prezydenta, a gdy dwa lata później został premierem, oskarżał prezydenta o utrudnianie mu wykonywania władzy wykonawczej. „Mnie prezydent nie jest do niczego potrzebny”, mówił, gdy Lech Kaczyński wbrew nagonce ze strony wszystkich partii, oczywiście poza PiS-em, słusznie chciał uczestniczyć w gremiach decyzyjnych Unii Europejskiej. Od pierwszych dni urzędowania prezydenta Lecha Kaczyńskiego upowszechniano w mediach taką interpretację przepisów konstytucji, z której miało wynikać, że głównymi atrybutami władzy prezydenckiej są: reprezentowanie państwa polskiego na zewnątrz, ale tylko w uzgodnieniu z rządem, który kształtuje politykę zagraniczną państwa oraz wetowanie ustaw, przedstawiane jako przykład destrukcji i nieodpowiedzialności prezydenta za politykę wewnętrzną kraju. Od czasu, gdy władzę przejęła Platforma Obywatelska, prezydentura Lecha Kaczyńskiego i w ogóle jego osoba traktowane były przez obóz rządzący wręcz wrogo. Okoliczności zorganizowania lotu prezydenta na uroczystości katyńskie, co leżało w kompetencjach rządu, najlepiej tego dowodzą.

Z chwilą rezygnacji Donalda Tuska z ubiegania się o prezydenturę obraz tego niechcianego przez premiera urzędu został przedstawiony jako mało istotny dla Państwa (słynne już „żyrandole”). Nie zmieniło to jednak stosunku Tuska i jego

obozu politycznego do samego Lecha Kaczyńskiego. Jego prezydenturę oceniano wyłącznie przez pryzmat tego, jak bardzo był związany z bratem bliźniakiem stojącym na czele opozycyjnego Prawa i Sprawiedliwości. Urząd prezydenta obierano jako polityczną ekspozyturę PiS.

Takie podejście było możliwe dzięki bezkrytycznemu wspieraniu polityki rządu przez większość mediów.

Podwójne standardy

Dzięki temu powstało wrażenie pełnej legitymizacji polityki rządu wobec urzędu prezydenta. Te same media fakt obejmowania przez marszałka Bronisława Komorowskiego prerogatyw po zabitym prezydencie Lechu Kaczyńskim potraktowały jako oczywistość, mimo że były co do tego poważne wątpliwości. Także sposób, w jaki marszałek pełniący obowiązki prezydenta doprowadził w imieniu swojego środowiska do nowelizacji ustawy o IPN, która likwidując samodzielność tej instytucji, likwiduje tym samym szansę na sprawiedliwy osąd historii w stosunku do byłych funkcjonariuszy państwa komunistycznego. Pełniący obowiązki prezydenta uczynił to wbrew zdecydowanej woli Lecha Kaczyńskiego wyrażonej odpowiednimi dokumentami, powstałymi tuż przed jego śmiercią. O ile w sprawie likwidacji IPN-u protestowały niektóre środowiska naukowe, o tyle w sprawie pozbawionego podstaw prawnych powołania przez marszałka Bronisława Komorowskiego Rady Bezpieczeństwa Narodowego panuje zgodne milczenie. Warto zatem przypomnieć, że zgodnie z Konstytucją, RBN powołuje prezydent, a nie osoba pełniąca obowiązki prezydenta. Czy jest jakaś różnica między prezydentem wybranym w wyborach bezpośrednich a osobą pełniącą obowiązki prezydenta w związku ze śmiercią urzędującego prezydenta?

W takim podejściu daje o sobie znać najcięższa choroba III RP, mianowicie cyniczne stosowanie podwójnych standardów: słuszne i usprawiedliwione jest to, co my (czyli elita) robimy, zaś nasi przeciwnicy zasługują tylko na krytykę, a nawet potępienie.

Jaki prezydent

Konstytucja mówi o uprawnieniach prezydenta, o tym, do czego jest zobowiązany względem narodu, pozwala mu, gdy zechce, odwołać się do Boga w momencie składania przysięgi, ale nie stanowi o tym, jakim człowiekiem ma być prezydent. Gdy w 1990 roku Lech Wałęsa kandydował na urząd prezydenta, wbrew tym samym elitom, które dziś tak mocno go popierają i wychwalają, przyznam, że słusznie reagował na zarzuty, że nie posiada swojego politycznego programu prezydentury. Kandydat na ten urząd nie musi mieć swojego programu jako takiego, gdyż ma reprezentować godnie cały naród swoją osobą.

Konstytucja z marca 1921 roku w treści przysięgi prezydenckiej zmuszała nawet do wypowiedzenia słów publicznego zobowiązania: „sprawiedliwość względem wszystkich bez różnicy obywateli za pierwszą sobie mieć cnotę”. Słowa te były szczególnym zobowiązaniem dla prezydenta. Warto przypomnieć, że na poczucie

sprawiedliwości i równości wszystkich obywateli wobec prawa zwracał wielokrotnie uwagę śp. prof. Lech Kaczyński.

Lech Wałęsa, który podkreślał swoje osobiste predyspozycje do sprawowania urzędu prezydenta, uległ w końcu żądaniom „elit” i mediów i przedstawił swój program prezydencki pod tytułem „Nowy początek”. Wkrótce okazał się on propagandową fikcją. Dziwi mnie więc, gdy słyszę domaganie się od kandydatów na prezydenta, by przedstawili swoje programy polityczne, by zaprezentowali je w debatach politycznych. Znacznie ważniejsze wydaje mi się wszechstronne poznanie przeszłości kandydata, jego faktycznych dokonań i postaw, tak by dawały one rękojmię godnego sprawowania urzędu. Chodzi przede wszystkim o kwalifikacje, ale i pewne cechy charakteru, które mogą decydować o skuteczności sprawowania najwyższego urzędu. Przekonaliśmy się, jak media w obliczu dramatu narodowego sprawnie potrafiły zmienić polityczny i ludzki wizerunek prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nagle okazał się i mądry, i sprawiedliwy, i taki ludzki, rodzinny, skromny i przystępny. Ten ujawniony mechanizm zamiany czarnego na białe powinien zmusić nas do poważnego zastanowienia się nad oceną kandydatury marszałka Bronisława Komorowskiego. Kreowany jest na polityka zrównoważonego, mądrego, i bezkonfliktowego, który nie potrafi się na nikogo obrazić, człowieka pełnego wszelakich cnót, arystokratę z pochodzenia i ducha, prawdziwego Sarmatę, równocześnie rodzinnego i zabawnego, lubiącego krótkie mowy i długą kiełbasę. Czy to obraz prawdziwy, czy wykreowany?

Czy za Bronisławem Komorowskim nie kryje się zupełnie inna, nieznaną opinii publicznej historia, urzędnika III RP, wokół którego zawsze pełno było oficerów i generałów szkolonych w moskiewskiej „worożyłowce”.

„Woda ma to do siebie, że spływa”, powiedział Komorowski jako swój komentarz do powodzi. Prawda ma tę samą cechę. Powoli, ale zawsze wychodzi na jaw. Czy Bronisław Komorowski odpowie na pytania red. Aleksandra Ściosy, zadane na jego blogu „Bez dekretu”, powtórzone w wielu innych portalach internetowych, które stawiają marszałka w świetle poważnych wątpliwości natury politycznej, prawnej, a nawet korupcyjnej. Jak w tej sprawie zachowają się ogólnopolskie media elektroniczne?

Chwilowa refleksja mediów

Głęboki i powszechnie manifestowany żal społeczeństwa polskiego po stracie tylu wybitnych Polaków wymusił niejako na mediach zupełnie inne, bardziej racjonalne spojrzenie na urząd i osobę śp. prezydenta prof. Lecha Kaczyńskiego. Spokojna, refleksyjna atmosfera w mediach musiała też objąć osobę najbliższą zmarłemu prezydentowi, szefa PiS Jarosława Kaczyńskiego oraz jego partię, która w tej katastrofie poniosła największe straty. Zanikł szyderczy śmiech, wyciszono agresywne tony z debaty publicznej, rzadziej zapraszano tych polityków i dziennikarzy, którzy słynęli z opluwania ludzi. Był to krótki, ale wart odnotowania moment, kiedy media, nawet gdyby bardzo chciały, nie mogły się przeciwstawić społecznemu oczekiwaniu na głęboką narodową refleksją. Była to też, mam nadzieję, ważna lekcja dla młodych dziennikarzy, także tych z TVN, którzy zobaczyli w

Krakowie na rynku, jak reaguje tłum na telewizyjny przekaz, który mija się z oczekiwaniami odbiorców.

Po tym krótkim okresie refleksji w mediach sytuacja wydaje się jednak powracać na stare tory, tym bardziej że Platforma Obywatelska, polityczny opiekun prywatnych elektronicznych mediów, wychodzi z traumy, aby wygrać prezydenckie wybory. Na razie nie wie jeszcze, w jakie uderzyć tony. Smoleńska katastrofa odebrała bowiem sens kontynuowania jedynej skutecznej, bo sprawdzonej od 5 lat, politycznej linii walki z PiS. Polegała ona na tym, aby za pomocą mediów tworzyć w społeczeństwie atmosferę zagrożenia opozycją, Kaczyńskimi, ich ideami, ich IV RP. Metoda dezinformacji, prowokacji, ośmieszania, napuszczania jednych na drugich, ohydnego szkalowania przeciwnika politycznego straciła swoją siłę. Ludzie już się na to nie nabiorą, bo zobaczyli i usłyszeli siebie przed Pałacem Prezydenckim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie w dniach narodowej żałoby. Jak słusznie powiedział Jan Pietrzak, „katastrofa pod Smoleńskiem to były prawdziwe prawybory”.

Ferdynand Kiepski za Komorowskim

Kampania, która straciła prosty, wypróbowany pomysł (ostrzeganie obywateli przed PiS-em jako zagrożeniem demokracji, rozwoju, itd), której odebrano przeciwnika (nie można wprost atakować brata zmarłego prezydenta, który odwołuje się do jego politycznej spuścizny), kampania, która odstawiła na bok ludzi skompromitowanych pluciem na prezydenta (Niesiołowski, Palikot), kampania bez żadnego pozytywnego pomysłu, dowodzi bezradności Platformy Obywatelskiej w obliczu nowej sytuacji, jaka powstała po smoleńskiej tragedii. Nic też nie dało ponad dwuletnie nękanie PiS komisjami sejmowymi i nadaktywną, „niezależną” prokuraturą. Spisku w PiS przeciwko państwu nie wykryto, nie znaleziono też pisowskich kryminalistów. Główny ciężar kampanii prezydenckiej spoczął na Komorowskim, który dwoi się i troi, by dobrze wypaść, ale popełnia same gafy, szybko, choć nie zawsze zręcznie tuszowane przez przyjaciół. Po wizycie w Muzeum Powstania Warszawskiego trafił do mediów tekst-apel Komorowskiego, by nie zawłaszczać patriotycznej tradycji. Chodziło oczywiście o PiS. Gdyby marszałek był z innej opcji albo wyzwolił się spod uroku swojego przyjaciela Palikota, w tym akurat miejscu podziękowałby Lechowi Kaczyńskiemu za stworzenie wspaniałego muzeum i tym zyskałby wyborcze punkty. Przy innej okazji subtelny inaczej Bronisław Komorowski powiedział: „polityka nie rządzi się współczuciem”. Co zatem wyгнаło z Warszawy na zalane wodą południe Polski i marszałka i premiera (w kaloszach)?

Powołanie w świetle kamer Rady Bezpieczeństwa Narodowego przez Bronisława Komorowskiego miało być mocnym elementem kampanii wyborczej marszałka. Miał to być wyraźny sygnał, że jako kandydat na prezydenta jest przygotowany do swojej przyszłej roli, ale i pewny wygranej. Jak wspomniałem, powołanie to w oczywisty sposób narusza konstytucję.

Dobre samopoczucie marszałka kontrastuje z zachowaniem się jego zaplecza polityczno-towarzyskiego, które chce, by było tak jak dawniej w Unii Wolności, skąd wywodzi się większość tego „salonu”. Hasło kampanii „Zgoda buduje” nie miało nic wspólnego z atmosferą, jaką zaprezentował komitet honorowy marszałka, komitet,

który jeden z internautów trafnie nazwał „komitetem horrorowym”. Wystąpienia Andrzeja Wajdy o wojnie domowej czy nienawistne bredzenie Władysława Bartoszewskiego o Polsce jako Ruandzie i Burundi, a o Kaczyńskim jako o hodowcy zwierząt futerkowych, wreszcie popisy satyryka Majewskiego o psychopatach z charyzmą spotkały się z jednoznaczną krytyką opinii publicznej nawet w zaprzyjaźnionych z marszałkiem mediach. Jeszcze bardziej żałosne było tłumaczenie szefowej sztabu wyborczego Bronisława Komorowskiego, posłanki Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Dowiedzieliśmy się, że każdy ma prawo mówić, co chce. Z tego zawsze słynęła Unia Wolności, dobrze mówiła tylko o sobie, źle o innych. Szczególnie zastanawiający jest przypadek Andrzeja Wajdy, który zachowuje się tak samo panicznie nerwowo jak Lech Wałęsa w czerwcu 1992 roku, kiedy w nocy odwoływał rząd Jana Olszewskiego. Ten sam paniczny strach. Tylko przed czym? Czego się obawia artysta Wajda? Czy nie powinien go uspokoić kolega z komitetu honorowego, zawsze wyluzowany aktor, znany z roli Ferdka Kiepskiego.

Koncentracja i skupienie

W Platformie szamotanina, brak koncepcji i zagubienie, natomiast w PiS koncentracja i skupienie. Jeszcze kampania się nie zaczęła, a już słyszeliśmy, że PiS będzie ją politycznie wykorzystywać. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Jeszcze Jarosław Kaczyński nie zabrał głosu, a już dywagowano na temat tego, co powie i dlaczego jest to z gruntu złe. Znaleźli się i tacy, jak np. Magdalena Środa, których wręcz obrażało bezczelne milczenie Jarosława Kaczyńskiego. Tymczasem „kandydat specjalnej troski”, jak Jarosława Kaczyńskiego nazwał Nowak z kancelarii Tuska, nie lata z tekstami Wikipedii w ręku, nie występuje w telewizjach, a zwrócił się poprzez internet „Do braci Rosjan”. Wystąpienie zostało w Rosji przyjęte jako dobre i potrzebne, a w Platformie jako fałszywe, nieszczerze i cyniczne.

Jarosław Kaczyński udzielił paru wywiadów, zachowuje w swojej żałobie godność i spokój. Wiemy, co sobą reprezentuje i do czego dąży. Można przyjąć jako pewne, że nie da się sprowokować do polemiki z tymi, którzy doszczętnie się skompromitowali. Teraz dywagują o tym czy Jarosław Kaczyński się zmienił. Jakim prawem? Już samo publiczne domaganie się zmiany od tak ciężko doświadczonego człowieka jest podłe. Oczywiście Jarosław Kaczyński zmienił się pod wpływem tego wielkiego nieszczęścia jakie go spotkało. Każdy człowiek, którego coś takiego spotyka musi się zmienić. Stracił brata, bratową i przyjaciół ale zachował swoje poglądy i swoją wizję Polski. Kaczyński nie musi i nie powinien się zmieniać. Ma być tym, kim był do tej pory. Tego oczekują jego wyborcy.

Wojciech Reszczyński